

VALENTIN MANDELSTRAMM.

FATALNY DYAMENT.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

11

W tej samej chwili otworzyły się równocześnie drzwi z obydwu stron i dwóch ludzi pochwyciło silnie za ręce starą damę, podczas kiedy trzecia jakaś osobistość, przybyła razem z tamtymi, zręcznym ruchem uniosła jej koronkową zasłonę razem z peruką.

Okrzyk przerażenia wydarł się z piersi starszej damy. Napróżno rękami osłonić chciała duże splety rudych włosów, błyszczących przy świetle latarni, jak krwawe złoto.

— Co to jest? — wołała zmieszana — Napad! Napad na kobietę na spokojnych ulicach Paryża!

Rozległ się ironiczny śmiech i słowa wymówione poważnym, surowym głosem:

— Miss Edyto Brown, mam przyjemność powitać panią. — Jestem detektyw angielski, Clemson, do usług pani!

Jeszcze jeden okrzyk, ale tym razem nabrzmiały rozpaczą i wściekłością rozległ się w powozie i miss Edyta Brown usunęła się omdlała na poduszki.

Ostatni dzień barona de Lambriere.

Około godziny wpół do trzeciej rano baron Gerard de Lambriere powrócił do swojego mieszkania przy ulicy des Courcelles.

Stróż spał głęboko i nie słyszał niezrozumiałych słów, które baron rozmyślnie rzucił, przechodząc obok jego łoża.

Nie posługując się windą, udał się po schodach na piętro, kierując się zręcznie w ciemności, zalegającej klatkę schodową i doszedł do drzwi swojego mieszkania. Otworzył drzwi cicho, udał się prosto do sypialnego pokoju, gdzie zapalił światło i gwałtownym ruchem rzucił w kąt walizkę podróżną, niesioną w ręce.

Baron de Lambriere musiał być silnie zdenerwowanym, czy też zmęczonym.

Nie rozbierając się, usiadł ciężko na pierwszym fotelu, wyciągnął nogi i bezwładnie wsparł głowę o poręcz. — Po raz pierwszy od dwunastu godzin mógł teraz zająć się sobą, obmyśleć sytuację, rozważyć ważność dokonanych czynów, podjętych gorączkowo i nagle.

— Dyabelnie ciężki był ten dzień! — szepnął — Przeżyłem w nim więcej, niż niejeden przez życie całe! Ale opłacił mi się przynajmniej! Teraz drwię sobie ze wszystkiego!

Przedewszystkiem upewnił się, czy zawsze ma na piersiach grubą paczkę banknotów, ukrytych tam wraz z szarym zeszytem i uśmiechnął się z zadowolenia.

— To warte jest miliony! — mruknął — Warto było pomozolić się trochę dla takiej nagrody.

Potem wyjął z bocznej kieszeni niewielkie pudełeczko z kartonu i otworzył, chcąc przy świetle obejrzeć drobny, ostry kamień, który się miał tam znajdować.

Ale natychmiast drgnął silnie i wyprostował się. Pudełko było puste!

— A to co znowu do dyabła! — zaklął — Czyżbym go zgubił? Może mi wyleciał w ciągu przepraw tego okropnego dnia! Ach! zresztą niema nad czem się tak zastanawiać! To jest drobiazg wobec reszty!

Był tak zmęczony i wyczerpany różnemi silnemi przejściami i wzruszeniami, odbieranymi bez przerwy przez te kilkanaście godzin, że nie czuł już nawet sił do głębszego zastanawiania się.

Wszystko, czego dokonał dzisiaj, wydawało mu się jakimś snem niezdrowym i gorączkowym. A przecież fakta wszystkie wiązały się ze sobą logicznie i realnie, przedstawiając pewność jasną i nieodwołalną. — To wszystko rzeczywiście było, a tylko umysł jego wyczerpany pokrywał wydarzenia minione jakąś mgłą lekką. Od czego właściwie ten dzień pamiętny się zaczął? Acha! Przypomniał już sobie!

Widzenie się rano z sir Archibaldem Graves, któremu towarzyszył Bob, kamerdyner i zaufany Johnny Smith... tam w tym szalasie w „Parku książęcym“...

Debatowano tam obszernie i decydująco nad planem pewnym.

Ale jakież to był plan właściwie? Tak, tak, wie

już dobrze — to był naprawdę genialny, niezwykły plan! Szwagier jego, bankier Jerome Versigny w grę wchodził!

Jerome Versigny...

Teraz Gerard de Lambriere przypominał sobie dokładnie, o co to chodziło.

Ale jaki był początek tego wszystkiego? W ostatnich czasach, szybkim i nieodwołalnym krokiem, dążył do całkowitej ruiny. Doszło do tego, że poszukiwano go już i mógł być lada chwila zaarrestowany za podjęcie w banku, którego był administratorem, sumy dosyć pokażnej, bo miliona franków. Tak się jakoś złożyło nieszczęśliwie, że te pieniądze przywłaszczyć sobie musiał. Wogóle od jakiegoś czasu szczęście zupełnie odwróciło się od niego i musiał się chwycić każdej sposobności, by nie runąć głową na dół w przepaść, która coraz wyraźniej rysowała się pod jego nogami.

I wtedy także, nie chcąc dopuścić do ostatecznej katastrofy, musiał się związać z sir Archibaldem Graves. Angielski finansista żądał od niego wydania planu działań finansowych bankiera Versigny'ego, przygotowanego na rok następny i kopii wszystkich sekretnych kontraktów, zawartych z dostawcami z Przylądka przez Towarzystwo francuskie kopalń dyamentowych.

To nie było niemożliwe do urzeczywistnienia, bo Gerard de Lambriere wiedział dobrze, gdzie szukać ma tych ważnych dokumentów szwagra.

Bywając często w biurach banku Versigny, wiedział, że chowa je zawsze, aby je mieć w każdej chwili pod ręką, w gabinecie swoim przy ulicy Pillet-Will.

Lambriere podpatrzył system otwierający kasę wertheimowską i podrobił sobie do niej klucze. — Uczynił to nawet daleko wcześniej przez ostrożność, nie przeczuwając, że to może mu się przydać tak prędko. To było jeszcze w tym czasie, kiedy ze szwagrem swoim żył w najlepszej zgodzie. Ale jednego dnia, jak gdyby w przeczuciu przyszłości, powiedział sobie filozoficznie: „Niewiadomo, co zdarzyć się może“ — i klucze podrobił. Posłużyły mu teraz! Znadto dobrze znał szwagra, aby mógł przypuszczać, że ten przejęty jakimś niedowierzaniem kazał zmienić zamek u kasy. Zresztą i na tę niespodziewaną ewentualność Gerard de Lambriere znalazłby jakąś radę. Są przecież różne sposoby, mikrofony, które, przybliżone do skomplikowanych zamków, ułatwiają zbadanie systemu, wykazując właściwy!

Największą trudność przedstawiało wejście do gabinetu Versigny'ego. Nie mógł się przecież narażać na to, aby go pochwyciono przy robocie.

Po pierwszym zawarciu znajomości z baronem de Lambriere, Archibald Graves, ostrożny zawsze i niedowierzający, zbadał osobę przyszłego współpracownika, chcąc się przekonać, czy zawierzyć mu może i czy plan jego wykradzenia dokumentów bankiera Versigny'ego jest wogóle wykonalnym.

Trzymał się więc jakiś czas w rezerwie, ale kiedy zebrał dostatecznie potrzebne mu informacje, okazał się bardzo zadowolonym z nowego pomocnika i pomyślał nad udoskonaleniem jego zamiaru.

Zawezwał go więc raz do siebie i zamknawszy się z nim w pokoju, rzekł do niego:

— Mój kochany panie, to jeszcze nie wszystko zabrać te papiery, chociaż interesują mnie one nadzwyczaj, ale trzeba zrobić jeszcze coś innego.

— Co takiego? — zapytał baron de Lambriere, który raz pochwyciwszy tak potężnego współpracownika, byłby uczynił wszystko, czegoby zażądał, widząc w tem ogromny interes dla siebie.

— Byłoby cudowną rzeczą — odpowiedział dobroduszenie „król dyamentów“ — gdyby nam się udało usunąć na przeciąg kilku miesięcy właściciela tych dokumentów.

— Usunąć? Jak to pan rozumie?

— Oh! niech się pan nie obawia! Zaznaczyłem przecież, że tylko na kilka miesięcy! Pan Versigny szkodzi mi w moich wyrachowaniach. Chcę go więc uczynić nieszkodliwym na czas pewien i umieścić w miejscu, skąd przeciw mnie działać nie będzie mógł.

— Ależ panie! — próbował się bronić baron de Lambriere, któryby chętnie szukał dróg mniej radykalnych i niebezpiecznych dla zadowolenia swojej chciwości — Zdaje mi się, że to jest niemożliwe!

Archibald Graves przeszedł go twardem i zimnem spojrzeniem.

— Myli się pan, kochany baronie. U mnie niema rzeczy niemożliwych do przeprowadzenia. Popieram je bowiem za silnym argumentem, przed którym nic się oprzeć nie potrafi!

— Przyznaję, ale...

— Zadnego ale. Postuchaj mnie, baronie. Je-

steśmy tu sami we dwóch w biurze moim, gdzie mówi się i robi interesa przeróżne, z wykluczeniem słabości i sentymentu. A więc mówmy o interesach i nie bawmy się w słowa, które tylko czas niepotrzebnie zabierają. Zrozumiał mnie pan?

— Zrozumiałem! — odpowiedział baron de Lambriere.

Czuł już doń, że jest tylko narzędziem w rękach potężnego finansisty i chcąc doprowadzić do swojego celu, musi zaryzykować wiele.

— Oddawna już — mówił dalej sir Archibald Graves — postanowiłem stawić czoło bankierowi Versigny'emu, dla którego siły i inteligencji czuję podziw najwyższy, ale który zawadza mi w moich kombinacjach finansowych. — Zresztą, nie dawno jeszcze zrobiłem mu pewne propozycje i podałem warunki zgody, które on lekkomyślnie odrzucił. — Wówczas powiedziałem mu, żeby się strzegł, bo wypowiadam mu oficjalną wojnę. Jest więc ostrzeżony. Widzi więc pan, że pana usługi przysły do mnie w samą porę. Dodaję, że gdybym z nich nawet nie chciał skorzystać, zdecydowany jestem zagrać w otwarte karty z panem Versigny i użyć najradzykalniejszych środków. Ale pan zaproponował mi swoją pomoc, więc ją przyjąłem i teraz ja proponuję panu. Albo przystąpimy do wielkiego dzieła, albo nic nas łączyć nie będzie! Sądzę, że się pan nie cofnie, bo znam obecną sytuację pana, z której pan przecież nie robił przedemną tajemnicy.

Gerard de Lambriere zaklął w duchu.

Czuł, jak wzbiera w nim całą potęgą żywiołową dawna duma i próżność atawistyczna, zmiażdżona i podeptana olbrzymią mocą i siłą złota! I nie mógł się w inny sposób uwolnić od tej potrzeby naglącej!

Ten człowiek, który teraz z taką zimną krwią i wyrachowaniem ważył słowa, wiedząc, że niemi przekonać go musi, był panem jego sytuacji! Już teraz zapóźno było cofać się! Pograżyliby się w hańbie innej i położeniu bez wyjścia.

Archibald Graves czuł, że baron de Lambriere jest w jego mocy i nie ośmielił się cofnąć, bo oczy jego zabłyśły ironicznym blaskiem, kiedy zapytał go po chwili:

— No i cóż, panie baronie? Czy gotów jesteś wypełnić każde moje życzenie?

— Tak! — odrzekł ponuro baron de Lambriere — Ale to pana wiele kosztować będzie. Skoro to dla pana sprawa tak ważna, niechże i ja przy niej skorzystam i wiem, za co ryzykuję życie.

— To jest zupełnie sprawiedliwe! — oświadczył sir Archibald Graves — Wiedziałem, że jak tylko wyłącznie o interesach mówić będziemy, to porozumiemy się łatwo. Więc zgadza się pan na dopomożenie mi w uprowadzeniu bankiera Versigny'ego?

— Tak.

— Doskonale. Otóż obmyśliłem plan taki. Będziemy się starać wciągnąć go w zasadzkę. W razie potrzeby, jeżeli to pociągnie za sobą za wiele zachodu, wyznaczę mu otwarcie spotkanie w oddalonem jakimś miejscu.

— Czy tylko przyjdzie?

— Przyjdzie. Znam go dobrze. Dumny jest i stawia się na moje wezwanie.

— A jeżeli przyprowadzi kogo ze sobą?

— Nie zna pan widocznie pana Jeroma Versigny, chociaż to szwagier pana, panie baronie. Ten człowiek posiada za wiele miłości własnej i ambicji, aby się upokorzyć przedemną okazaniem choćby chwilowej słabości, czy lęku. Przyjdzie sam, zaręczam panu.

— Gdzie go pan myśli ukryć?

— Posiadam w okolicach Paryża niewielką willę, ukrytą w rozległym ogrodzie w „Parku książęcym“. Sąsiedztw niepożądanych tam niema, zresztą zakupiłem tę willę pod przybranem nazwiskiem i zachowuję wszelkie środki ostrożności, kiedy się do niej udaję... Jest tam na parterze, a właściwie już w podziemiach parę pokoi, urządzonych z najwyższym komfortem: sala kąpielowa, palarnia...

— Ho, ho! — roześmiał się ironicznie Gerard de Lambriere, patrząc bystro w twarz sir Archibalda Graves — Widzę, że to schronisko już niejednokrotnie panu służyć musiało...

— Możliwe! — odparł krótko „król dyamentów“ — Ale, kochany baronie, nie o tem przecież mieliśmy mówić.

— Ma pan słuszość. Słucham dalej.

— Przyprowadzimy więc tam bankiera Versigny'ego. Omówimy jeszcze dokładnie, jaką drogą do tego dojdziemy. — Mam zawsze przy swoim boku dwóch ludzi, oddanych mi ciałem i duszą. Oni to wezmą pod swoją opiekę naszego więźnia i czuwać będą, aby się nie wymknął i nawet nie domyślił,